

Małgorzata
Szymańska-Warda
Dłonie



Copyright © Wydawnictwo Ligatura, 2005

Projekt okładki
Andrzej Tomaszewski

Fotografia na okładce
Dorota Keller

Redakcja
Aleksandra Piechnik-Kaszuba

Korekta
Edyta Malinowska-Klimiuk

Darmowa e-gazeta kulturalna

Apeiron Magazine

www.apeironmag.pl



www.escapemag.pl

Moim Rodzicom

Spis treści

I Maria	5
II Sara	13
III Dorota	20
IV Anna	26
V Maja	36
VI Anna	44
VII Maria	53
VIII Sara	60
IX Dorota	69
X Maja	77
XI Maria	85
XII Anna	93
XIII Dorota	106
XIV Sara	123
XV Maja	129
XVI Anna	139
XVII Sara	150
XVIII Maria	159
XIX Dorota	168
XX Anna	182
XXI Sara	191
XXII Dorota	198
XXIII Maria	210
XXIV Maja	221
XXV Anna	230
XXVI Maria	248
XXVII Sara	260
XXVIII Dorota	272
XXIX Maja	282
XXX Sara	292
XXXI Maja	299
XXXII Dorota	308
XXXIII Anna	324
XXXIV Maria	335

Celem sztuki nie jest kopiowanie natury, lecz tworzenie – za pomocą kształtów i barw – mikrokosmosu dla idei, wrażeń oraz snów, jakie roimy lustrując świat.

Téophile Gautier, *Histoire du Romantisme*

I

Maria

To właśnie jest wolność! Otwieram okno i wpuszczam do pokoju zapach jesieni. Jej powiew opada na nieociosane deski podłogi, przesuwa się po starych meblach, podrywa do góry kurz i w zawirowaniach unosi go aż pod belkowania skośnego sufitu, by za chwilę porzucić na zabytkowych kapach, na nieużywanych klawiszach fortepianu.

Moja wolność. Na własność!

Za oknami pokoju miasto. Tętni życiem, wyje syrenami radiowozów i karetok pogotowia, rozbrzmiewa głosami kłębiących się na ulicach ludzi. Pachnie nowością.

Nie mogę uwierzyć. Wychyłam się przez okno, wpatruję w zupełnie obce ulice, w zupełnie obcych ludzi i nie mogę uwierzyć, że faktycznie tu jestem, że starczyło mi odwagi, że to dzieje się naprawdę. To tak, jakby zaczynać życie na nowo, prawie od początku!

Dziwne uczucie: nikt mnie tu nie zna, nikomu nie mogę się uklonić, nie wiem, co znajduje się za rogiem budynku. Ochrypli głos Boba Dylana w odtwarzaczu pyta: *How does it feel to be complete unknown, without home?* No właśnie. Jakie to uczucie być zupełnie obcą?

Jakie?

Cudowne! Wspaniałe!

Mam ochotę rozłożyć ręce na boki, odchylić głowę i krzyknąć na całe gardło. Rozpiera mnie energia, radość, czuję w sobie szaleństwo. Jest dokładnie tak, jak myślałam, że będzie, a nawet lepiej, ponieważ wcale nie ma we mnie żalu, którego się obawiałam.

Piszę sms-a do Rafała: *Rafi, jestem na miejscu. Mieszkanie jest niezwykle, na pewno by ci się spodobało. Miasto jest dokładnie takie, jak chciałam. Już jestem szczęśliwa!*

Kasuję fragment o mieście i dopisuję, że już tęsknię.

W gabinecie profesora panuje niesamowity zaduch. Wentylator jednostajnym szumem przerywa cieszę, profesor wachluje się moim podaniem, asystent jako jedyny z nas wygląda, jakby upał w ogóle się go nie miał.

– Taki upał w październiku – mówi po angielsku.

Wcześniej starali się rozmawiać ze mną po francusku, ale rozumiałam tylko ogólny sens i na każde pytanie odpowiadałam zupełnie nie to, co powinnam była powiedzieć. Przeszli na angielski, ale na moje nieszczęście, ten język znam chyba lepiej od nich. Teraz z kolei ja mam wrażenie, że oni odpowiadają mi bez sensu.

– Abstrakcje? – pytają, wskazując na prace ułożone na podłodze.

– Koty.

W sumie to abstrakcyjne koty, ale co tam. Koty wyklejane z różnych materiałów, pasiaste, kraciaste, w kropki. Koty na dachach, na płotach, na rynnach, na oknach.

– Lubisz koty – mówi asystent i uśmiecha się do mnie.

Przytakuję, chociaż wcale nie lubię kotów. Mieszkałam z jednym przez ostatni rok. Rafał znalazł go na dworze kulejącego i przyniósł do domu. Wydaliśmy na niego mnóstwo pieniędzy, opiekowaliśmy się nim jak dzieckiem. W nagrodę podrapał mnie po twarzy, kiedy tuliłam go do siebie, Rafałowi zniszczył najładniejszy sweter, obsikał kwiat, który dostałam od Ani (kwiat zwiądnął), by na zakończenie uciec od nas po rynnie i nigdy nie powrócić.

– Koty są fałszywe – mówi profesor.

Rozkładałam na podłodze fotografie swoich rzeźb.

– O! – asystent wybuchł śmiechem. – To dobre! Co to?

– Skwarki.

– Skwarki?

Powtarzają to słowo dwa razy, ale chyba nie rozumieją jego znaczenia.

– Skwarki są na patelni – tłumaczę im niepewnie. – To boczek z cebulką...

Profesor prychnął, mówi coś do asystenta po francusku.

– To kobiety – kontynuuję, wskazując na fotografie rzeźb. – Grube kobiety. Pełne tłuszczu. Leżą na plaży i smażą się w słońcu. Skojarzyły mi się ze skwarkami, więc wyrzeźbiłam tylko ich najgrubsze części ciała. Reszta ciała już rozlała się dookoła. Sam tłuszcz.

Na fotografiach nie widać tego dobrze, ale mam nadzieję, że dostrzegą, iż robiłam te rzeźby z żywicy. Ciekawe, czy u nich ktoś robi rzeźby z żywicy?

Mam wrażenie, że asystent chce mnie poderwać. Ciągłe na mnie patrzy i uśmiecha się. Teraz skrzyżował ręce na piersiach i w krótkich rękawach koszulki widać, jakie są umięśnione.

Ma rude, mocno pokręcone włosy sięgające ramion i bardzo wesołe oczy. Piegi dodają mu tylko uroku. Gdyby nie to, że mówi jak rodzony Francuz, pomyślałabym, że jest z północnej Europy, z miast, gdzie słońce nie rozgrzewa skóry i nie spala jej rudzielcom na czerwono. Na tabliczce przy drzwiach odczytałam, że jest adiunktem II stopnia. Dziwne, że w tak młodym wieku, u nas adiunkci są znacznie starsi.

– François – mówi, kiedy profesora już nie ma, a ja zbieram swoje prace. – François Moreull.

Podnoszę głowę, patrząc w jego kierunku, i usiłuję powtórzyć za nim imię.

– Nie tak – śmieje się. – Mów po prostu Francis, będzie prościej.

– Francis – przytakuję.

Zamykam teczkę i kieruję się do drzwi.

– Do jutra – mówię na pożegnanie, ale mnie zatrzymuje.

– Nie, nie. Chodź ze mną wieczorem na spacer i wino! Nikogo tu nie znasz, więc pokażę ci Paryż!

Wieczór jest ciepły, jeszcze wciąż pachnie latem, chociaż na drzewach widać już pierwsze oznaki jesieni. Najwyższe kondygnacje kamienic zalane są miękkim, sennym światłem słońca, podczas gdy my tonimy w półmroku. Widzę, jak zapalają się latarnie – jedna po drugiej, całymi rzędami. Na ulicach ruch nie słabnie, ludzie w podkoszulkach kulą się w wieczornym chłodzie, ci, którzy założyli jesienne palta, rozpinają się.

Wokół mnie francuski we wszelkich odmianach. Niektóre słowa rozumiem, inne są zupełnie nowe i nie mam pojęcia, co znaczą. Francuskie słowa brzmią jak zaintonowana piosenka albo jak deklamacja jakiegoś wiersza. Gdybym miała je narysować, byłyby okrągłe albo tworzyłyby esy-floresy. Bawi mnie wymawianie ich głośno, słuchanie, jak mój własny głos przekształca się, by je wyartykułować. Jeszcze wciąż odwracam się za czarnoskórymi Paryżanami, zdumiewa mnie ich intensywna barwa, różowe, miękkie poduszki dłoni. Paryżanie odwracają się za mną, podoba się

im mój płowy kolor włosów, jasna karnacja. Wydaje mi się, że emanuję radością.

Francis idzie blisko mnie, raz po raz odwraca głowę w moją stronę i ciągle opowiada mi o ulicach, które mijamy.

– Tu mieszkał van Gogh – mówi, kiedy ulica robi się kręta i wąska, a my przeciskamy się przez sznur turystów koło wyblakłej od słońca kamienicy. Patrzę we wskazanym kierunku. Mała tabliczka informuje, że faktycznie mieszkał tu van Gogh.

– Tu? Ładne miejsce.

– W tamtych czasach nie było ładne. To nie była dobra dzielnica.

Szukam okna van Gogha, odliczam piętra, przesuwam wzrokiem w bok. W oknie pali się lampka, dodając wnętrzu ciepła i przytulności.

– Kto tam teraz mieszka?

Francis wzrusza ramionami:

– Może jakaś rodzina?

Uśmiecham się.

– Uśmiechasz się – cieszy się Francis koło mnie. – Co cię bawi?

– Zawsze myślałam, że będę taka jak on – tłumaczę niezdarne. – Że wszyscy malarze żyją w ten sposób: wydają ostatnie pieniądze na płótna i farby, wariują od samotności.

Śmieje się.

– Tam u góry jest mnóstwo malarzy – mówi, wskazując mi szczyt wzgórza, pod które mozolnie wspina się ulica. Widok ulicy wydaje mi się dziwny, wręcz egzotyczny: jest taka wąska, że dwa samochody pewnie nie dałyby rady przejechać obok siebie. Wygląda też, jakby jej wszystkie kolory wypaliło słońce.

U góry faktycznie jest wielu malarzy. Chodzą ze swoimi szkicownikami i namawiają przechodniów na portrety. Turystów też pełno – siedzą na zewnątrz kawiarni, pod parasolami, przy okrągłych stolikach i popatrują na zaokrąglone dachy Bazyliki. Kilku malarzy, jak sępy, pędzi w naszym kierunku:

– Portret? – pytają mnie i już zaczynają szkicować. Francis przegania ich, jakby miał do czynienia z muchami.

– Chcą za dużo pieniędzy, a nie umieją malować – tłumaczy. – Po co ci taki portret?

Francis ciekawi mnie. Jest tak różny od mężczyzn, z którymi miałam do czynienia, że nawet nie umiem go sklasyfikować. Nie bardzo też wiem, jak powinnam się zachowywać względem niego. Ciągle pamiętam, że jest asystentem profesora, którego ja jestem

studentką, i to trzyma mnie na dystans, jednak on najwyraźniej wcale się tym nie przejmuje. Nie chce dystansu. Ma temperament Włocha, chociaż wygląda jak nordyk. Ciągłe się śmieje, tryska energią i wcale nie martwi się barierą językową. Kiedy nie wie, jak coś powiedzieć po angielsku, mówi to po francusku albo pantomimą usiłuje mi pokazać, o co mu chodzi. Zauważyłam też, że patrzy na co drugą dziewczynę na ulicy.

Siadamy pod parasolką, u góry krętej drogi. Widać stąd rzekę w dole i czuć chłód w powietrzu. Kiedy wieje wiatr, zamykam oczy i wdycham zapach powietrza.

– Możemy usiąść w środku – namawia Francis. – Jest ci zimno.

Protestuję. Tu jest dobrze, chociaż chłodno. Widać stąd miasto i mogę cieszyć się tym widokiem. To wystarczy. Pijemy grzane wino.

– Zabiorę cię do Luwru.

Zaczynam się zastanawiać, skąd w nim tyle pewności, że będę chciała gdzieś z nim chodzić. I skąd ta potrzeba oprowadzania mnie po ulicach, po kościołach, po zabytkach.

– Zabiorę cię do Luwru i zobaczysz te wszystkie obrazy, które warto znać.

– Ależ ja znam te obrazy z reprodukcji.

Zbywa to machnięciem ręki:

– To nie tak. Musisz zobaczyć ich prawdziwe kolory, rozmiar. Musisz iść do Luwru.

Kiedy biorę kieliszek do ręki, on unosi swój:

– Pijmy za twoją podróż!

Pijemy.

Francis patrzy w dół, na rzekę.

– Kiedyś na akademii trzeba było chodzić do Luwru – mówi po chwili. – Tak wyglądały zajęcia. Robiło się kopie słynnych obrazów. Inaczej nie można było uczyć się dobrego malarstwa. Uczyłaś się malować tak, jak malowali najwięksi. Ich kreską.

Patrzę na Francisa. Rude włosy sterczą mu niesamowicie, teraz dopiero widzę, jak wiele ma piegów na nosie i na policzkach. Kolory ubrań, które nosi, są bardzo żywe: żółta podkoszulka, pomarańczowy polar, ciemnozielone sztruksy, trekkingowe jasne buty. Mimo woli taksuję wzrokiem jego dłonie w poszukiwaniu złotej obrączki, szyję w poszukiwaniu jakiegoś medalika lub łańcuszka.

– Dlaczego wybrałaś Paryż?

Popijam stygnące wino:

– Marzenie z dzieciństwa.

Rozmowa w tej scenerii wydaje mi się jakaś nierzeczywista. Paryż, Francis, wino i malarze biegnący od turysty do turysty. Kręcę głową, zbyt szczęśliwa, by wyrazić to słowami. Kiedy odchylam głowę, by złapać ostatnie promienie słońca, mam wrażenie, że zaczynam unosić się w górę jak na najbardziej abstrakcyjnych obrazach.

Kiedy jest już zupełnie ciemno, schodzimy do miasta. Wiatr ustał, jest nawet cieplej niż było dwie godziny temu. Na ulicach ruch nie słabnie, mam nawet wrażenie, że z każdą chwilą przybywa ludzi, robi się coraz głośniejsze i coraz bardziej kolorowo. W sklepach świecą kolorowe witryny, na ścianach kamienic ogromne, podświetlone billboardy, na ulicach czerwone światła stopu w miejscach, gdzie tworzy się korek.

Mam wrażenie niesamowitej przestrzeni, jakby Paryż wypełniony był samym powietrzem. Widzę Murzyna na rolkach – jadąc, woła coś do ludzi. Z samochodów, które utknęły w korku, wychylają się kierowcy i pasażerowie; na czwartym piętrze, tuż nad najbardziej ruchliwą ulicą, gruba kobieta wygląda przez okno i strzepuje wielki kawał materiału, który wydyma się jak żagiel.

Francis prowadzi mnie nad rzekę. Widzę statki turystyczne zabierające z nabrzeża dużą grupę Niemców.

– Niemców poznam wszędzie – mówi Francis, przystając blisko mnie. – Zawsze są ubrani wygodnie: tenisówki, krótkie spodenki albo dresy, podkoszulki. Popatrz, mają też czapki z daszkiem!

Faktycznie. Wszyscy wyglądają podobnie i wszyscy sprawiają wrażenie emerytów. Szukam wzrokiem młodzieży.

– Jest tu kafejka. Miła, spodoba ci się.

Kafejka okazuje się być malutka, wielkości przeciętnego pokoju. Na ścianach wiszą duże longowe płyty i stoją gramofony. W głośnikach Mahala Jackson śpiewa bluesa, za barem stoi mężczyzna z długą jasną brodą, w śmiesznym kapeluszu. Siadamy przy stoliku koło okna, Francis znowu zamawia wino. Czuję się pijana tym wieczorem i wypitym już winem, kręci mi się w głowie i ciągle się śmieję.

– Wypijmy za twoje skwarki – mówi Francis, słowo „skwarki” wymawiając tak śmiesznie, że z początku nie rozumiem, o czym mówi.

– Zostawiłaś kogoś w Polsce?

Upijam łyk wina i odstawiam kieliszek.

– Dużo osób – odpowiadam oględnie.

– Kogoś szczególnego też?

Mrużę oczy i myślę o Rafale.

– Raczej nie.

Myślę nad tym, co powiedziałam. Czy Rafał domyślił się, że już nie wrócę?

– Można tak powiedzieć – poprawiam się, usiłując przekonać samą siebie o mojej lojalności wobec niego. – Zostałam tam kogoś.

W nocy piszę maila do Ani. Opisuję jej Paryż, akademię, wyrażam nadzieję, że mnie tu odwiedzi. Proszę też, by wpadła czasem do Rafała i oderwała go trochę od pracy. Piszę, że brakuje mi jej i reszty przyjaciół: *Uściskaj ich wszystkich ode mnie, kochana!* Dopisuję też: *Widziałam okno mieszkania Vincenta.*

W moim domu na ścianie wisiała reprodukcja obrazu van Gogha. Przedstawiała wiejski pejzaż i pracujących w polu ludzi. Na niebie świeciło wielkie, żółte słońce, które dosłownie wypalało trawę, czyniąc ją ogniście czerwoną. Nie podobał mi się ten obraz, ale lubiłam wpatrywać się w niego na tyle długo, by dostrzegać rzeczy, których nie zauważałam wcześniej: kobietę klęczącą gdzieś daleko w polu, stożek siana o dziwnym odcieniu, wóz z osiołkiem jadący hen, hen po drodze.

Kiedyś spytałam mamę:

– Dlaczego te drzewa przy drodze są niebieskie?

Odpowiedziała, że są niebieskie, bo tak widział je malarz.

– Jak mógł tak je widzieć? Drzewa są zielone.

Matka próbowała wydobyć z tej rozmowy jakąś naukę dla mnie:

– Dla jednych są zielone, dla innych żółte. Pamiętasz, jak namalowałaś niebieskiego konia na zajęciach z biologii?

Pamiętałam.

– Konie nigdy nie są niebieskie, ale ty tak go namalowałaś. Dlaczego?

Dobrze pamiętałam niebieskiego konia i to, dlaczego tak go namalowałam:

– Nie miałam temperówki, a wszystkie kredki były tępe. Tylko niebieska była ostra.

Westchnęła i popatrzyła na reprodukcję, jakby szukała w niej ratunku:

– Te drzewa są daleko, dlatego są niebieskie. Jak rysuje się przedmiot leżący daleko, trzeba narysować go niebieskim.

Zmarszczyłam brwi i też wpatrzyłam się w obraz. To miało sens, ale...

– Ale za drzewami jest jeszcze górka i wcale nie jest niebieska.

Matka najwyraźniej poddała się:

– Ten malarz był chory.

Rozwarłam szeroko oczy, przerażona:

– Chory? Na co?

– Na głowę.

W nocy zły sen. Śni mi się Julia.

II

Sara

Dziennikarka spytała mnie, kiedy ostatni raz widziałam się z moją matką.

– Rok temu – skłamałam.

Tak naprawdę nie widziałam się z nią od czterech lat. Przed śmiercią przysłała mi tylko jeden list. Włożyła do niego fotografię jakiegoś włoskiego miasteczka i napisała banalny tekst z pozdrowieniami. Ani jednym słowem nie wspomniała, że jest chora. Od wysłania tej wiadomości do jej śmierci minął rok. Nie zadzwoniła jednak, by poprosić mnie o przyjazd. Nie zostawiła też dla mnie żadnego pożegnalnego listu i w ostatnich dniach swojego życia w żaden sposób nie starała się ze mną skontaktować.

Mateusz zadzwonił do mnie ze szpitala, kiedy umarła. Prosił, bym nie była na niego zła:

– Ewa nie chciała cię zawiadamiać. To wszystko stało się tak nagle.

Nic nie stało się nagle. Matka umierała od dwóch lat, a ostatnie tygodnie spędziła w szpitalu. Byłam zła na Mateusza, że nie zadzwonił do mnie wcześniej i nie poinformował mnie o niczym. Tak wielki miałam do nich żal, że nie pojechałam na pogrzeb.

Wielokrotnie później oglądałam fotografię włoskiego miasteczka, którą matka mi przysłała. Zastanawiam się, czy długo tam mieszkała, czy nareszcie była szczęśliwa.

Moja matka była znaną malarką. Po jej śmierci wszystkie gazety pisały, że miała w sobie wiele optymizmu, że nadała nowe znaczenie sztuce feministycznej i że do ostatnich dni walczyła o równouprawnienie kobiet.

Dziwnie było mi czytać coś takiego. Nie widziałam wprawdzie matki od czterech lat, ale jak sięgam pamięcią, nie mogę sobie

przypomnieć, by miała w sobie jakikolwiek optymizm. Była raczej straszną malkontentką. Pamiętam ją wiecznie zmęczoną, wiecznie zmartwioną i strasznie nieszczęśliwą.

W swoim życiu niejednokrotnie spotykałam ludzi tak samo nieszczęśliwych jak ona. Każdy dzień oznaczał nową katorgę. Codziennosc była przytłaczająca. Warszawa zalegała jej na piersi jak wielki kamień. Wraz z porankiem zaczynała nową walkę z własnymi humorami, umęczona po poprzednim dniu, coraz bardziej zniechęcona i podłamana. Mam wrażenie, że nic jej nie uszczęśliwiało. Nawet, kiedy stała się znana i mogła wystawiać swoje prace w największych galeriach, i tak znajdowała sobie powody do smutku.

Nie wiem nawet, czy Mateusz kiedykolwiek ją zadowolił, chociaż to właśnie jego wybrała na towarzysza ostatnich lat życia.

Mateusz jest niewiele starszy ode mnie: ma wygląd studenta politechniki, nosi okulary w drucianych oprawkach i kiedy je zdejmuje, marszczy nos jak kot. Niewątpliwie jednak ma w sobie coś. Może tym czymś jest młodość i żywotność, i może tego właśnie potrzebowała moja matka.

Mateusz jest dziennikarzem piszącym o sztuce. Pięć lat temu napisał o wystawie mojej matki. Rozpisywał się nad urokiem jej prac i wciskał ją w sztywne ramy feministycznej grupy malarek. Tym ostatnim strasznie ją uraził, więc zadzwoniła do redakcji i poprosiła go o spotkanie.

Mogę z łatwością wyobrazić sobie, jakie musiała zrobić na nim wrażenie!

Moja matka była piękną kobietą. Drobna i niska wydawała się bardzo krucha. Nigdy też nie zakładała obcasów, czyniąc ze swojego niskiego wzrostu atut. Mężczyźni uwielbiali myśleć o niej jak o bezbronnej kobietce, którą mogliby nosić na rękach i chronić przed trudami codzienności. Mój ojciec też myślał o niej w ten sposób i minęło dużo czasu, nim zrozumiał swój błąd.

Nie była krucha i bezbronna. Po prostu umiała podkreślić w sobie to, co miała najpiękniejszego: nie ścinała włosów, malowała usta ognistą czerwień, nosiła duże dekolty i długie spódnice.

Nigdy też nie przypominała innych matek i nikt tak naprawdę nie wiedział, ile ma lat.

Kiedy się urodziłam, matka zrobiła o mnie dwie prace. Zatyłowała je *Lekcja I* i *Lekcja II*. Na obu obrazach namalowała tę samą kobietę z dzieckiem. Na jednym obrazie kobieta zakrywa

dziecku oczy, na drugim usta. Kobieta miała być chyba ona, a nadętym grubasem siedzącym okrakiem na jej kolanach – ja.

W albumach przeczytałam, że wypowiedziała się na temat odpowiedzialności, jaką kobieta bierze na siebie w chwili, gdy decyduje się na dziecko. Kiedy jednak spytałam ją o to, odpowiedziała wymijająco, że to jakieś bzdury. Nigdy też nie przyznała się, że faktycznie namalowała tam mnie.

Nie znam się na malarstwie, ale te dwa obrazy bardzo chciałabym zrozumieć. Trudno mi właściwie wytłumaczyć, co mnie w nich niepokoi. Może winę za to ponosi kolorystyka, która chwieje się od czerwieni po zbyt miękkie róż. Może ten okropny dzieciak, który ma być mną. Albo ta piękna, lecz zimna kobieta o alabastrowej skórze przywodzącej na myśl bardziej chłód marmuru niż ciepło ciała. Kobieta, która z pełnym wyrachowaniem zatyka dzieciakowi najpierw usta, a potem zasłania mu oczy.

Kilka lat później moja matka zrobiła jeszcze jedną pracę o mnie. Zatytułowała ją *Spowiedź*. Ogromny obraz przedstawiał nieruchome, zimne oczy wpatrzone w widza. Oczy wyrastały zewsząd jak kwiaty, kołysały się na cienkich łodygach, przewiercały wszystko swoimi złotymi, inkrustowanymi spojrzzeniami.

Miałam już wówczas piętnaście lat i przestraszyłam się tej pracy bardziej nawet niż *Lekcji*. Od razu wiedziałam, że jest o czymś strasznym, co przeraża też matkę. Nie sądziłam jednak, że jest o mnie. Obraz otrzymał nagrodę i wystawiany był we wszystkich galeriach, w których rządzą kobiety. W telewizji powiedziano, że wywołał dyskurs społeczny, gdyż mówił o roli kobiety, jaką jest macierzyństwo, i o jej negatywnych odczuciach wobec tego faktu.

Nie znam złożonej symboliki malarstwa. Nie potrafię czytać w obrazach. Dla mnie namalowana kobieta z perłą to po prostu namalowana kobieta z perłą, podczas gdy inni powiedzą, że to płacząca kobieta, ponieważ perła symbolizuje łzy. Nie rozumiem tych ludzi i ich logiki: po co zaszyfrowywać płacz, skoro można po prostu namalować łzy na twarzy i będzie to bardziej czytelne?

Tamten obraz zrozumiałam jednak bez fachowej porady. Oczy patrzyły na moją matkę. To były oczy innych ludzi, obserwowały i kontrolowały ją. Symbolizowały jej wstyd.

W dzieciństwie wpatrywałam się w matkę z zachwytem. Ze swoimi rudymi, długimi włosami, ze szczupłą talią i zapachem perfum wydawała mi się piękna, piękniejsza od wszystkich innych matek. Inne matki gotowały, uczyły w szkołach, sprzedawały w

sklepach, pomagały odrabiać lekcje. Moja matka była ponad to. Dbła o swoją urodę, o swoją niezależność, dopieszczała swoje obrazy. Koleżanki zazdrościły mi jej, twierdząc, że spotkało mnie coś niewiarygodnie pięknego, że mogę z nią obcować.

Ja też tak uważałam. Godzinami przypatrywałam się, jak czesze włosy, jak ostrą brązową kredką maluje równe łuki na swoich brwiach, jak przeciera tonikiem twarz i gładkie, jasne ramiona. Niewątpliwie była bardzo piękna i moja fascynacja jej osobą nie ustała wraz z mijającymi latami.

Kiedy widziałam ją ostatni raz, robiła na mnie dokładnie takie samo wrażenie jak w dzieciństwie: była już starsza, ale wciąż zadbana, ekskluzywna. Nie wątpię, że była równie piękna w chwili śmierci.

Ja nie odziedziczyłam po matce urody. Nie mam rudych włosów, nie jestem niska i nie przejawiam skłonności do anoreksji. Wszystko, co się na mnie składa, podarował mi ojciec: ostry nos, z którym wyglądam jak sęp, duże usta, metr siedemdziesiąt wahający się do metra siedemdziesiąt pięć na obcasach (w związku z czym, wzorem matki, chadzam w płaskich butach), proste ciemne włosy.

Patrząc w lustro, nie potrafię jej dostrzec, nie słyszałam też nigdy od znajomych: Jakaś ty podobna do mamy! A jednak, kiedy siedzę przed lustrem, zdarza mi się myśleć o niej. Przypominam ją sobie czeszącą włosy, nakładającą puder na twarz. Często chcę nas jakoś porównać ze sobą, ale nie udaje mi się. Nie ma we mnie jej elegancji. Kiedy zakładam nogę na nogę, nie wyglądam jak kochanka, tylko jak żona albo jak samotnica. Nie mam też takiego zimnego odcienia skóry i determinacji matki. Za bardzo przypominam ojca.

Matka odeszła z dnia na dzień. W wywiadach, które później czytałam, niejednokrotnie sugerowała, że małżeństwo i rodzina upośledzają kobietę, ograniczają jej możliwości.

Zapytana kiedyś o swoją rodzinę odpowiedziała wymijająco, że potrzebowała więcej swobody.

Ja tłumaczę jej odejście tym, że była bardzo samotna.

Sama kiedyś powiedziała, że artyści powinni łączyć się z artystami. Mój ojciec nie był artystą, co więcej, nawet nie interesował się malarstwem i nie miał o nim bladego pojęcia. Nie mógł więc stanąć przy sztalugach, kiedy pracowała nad obrazem, i powiedzieć czegoś celnego, czegoś pomocnego.

Ja też nie mogłam nawiązać z nią żadnego dialogu, który byłby dla niej interesujący. Jej artystyczne geny utonęły w morzu mojej obojętności wobec sztuki malarskiej. Interesują mnie tylko książki, ale to nie jest nic, co satysfakcjonowałoby moją matkę. Ostatecznie nawet ich nie piszę. Po prostu kocham je czytać. Pewnie byłoby jej lepiej, gdybym, chociaż interesowała się historią sztuki albo teatrem. Każda dziedzina związana ze sztuką wizualną: od rzeźby po film, scenografię i fotografię, byłaby lepsza niż zamiłowanie do literatury pięknej. Mogę się założyć, że gdybym malowała, byłabym z matką dużo bliżej, może nawet udałoby mi się ją zatrzymać przy nas. Przecież musiałyby mną jakoś pokierować, nauczyć mnie rozumienia sztuki i jej czas nie zostałby zmarnowany.

Ponieważ matka odchodząc, nie zabrała swoich prac, wydawało mi się oczywiste, że powinna pewnego dnia pojawić się po nie.

Kiedy potem odwiedzałam ją w różnych miastach, najpierw w różnych częściach Polski, a potem w różnych częściach Europy, prosiła mnie zawsze, bym przywiozła ze sobą jakiś jej obraz.

Mimo upływu lat pamiętała doskonale, które obrazy zostawiła i gdzie powinny się znajdować. Pisała: *Weź ze sobą moją „Martwą naturę z kobietą”. Pamiętasz? To ta z kobietą w czerwonej sukience, powinna być na tyłach pracowni, razem z innymi martwymi naturami.*

W ten sposób udało jej się pozabierać prawie wszystkie swoje obrazy. Zostawiła nam tylko *Lekcję II* i *Spowiedź*.

W ostatnich latach swojego życia tworzyła tylko i wyłącznie obrazy dotyczące roli kobiety we współczesnym świecie. Stała się przedstawicielką feminizmu w naszym kraju i poza nim. Głośno krytykowała Kościół, prawo zabraniające aborcji, potępiała kobiety-matki, kobiety-gospodynie domowe i zawsze popierała feministki w ich dążeniach do równouprawnienia płci.

Obserwując jej wystąpienia w telewizji, nie mogłam się nadziwić, widząc, jak bardzo wierzy w to, co mówi. Nie poznawałam jej. Uśmiechnięta, tryskająca energią, w niczym nie przypominała mi ponurej, depresyjnej kobiety, którą widywałam w moim domu. Stała się kimś zupełnie nowym, kimś, kogo chyba nie znałam i kogo nie chciałam znać.

Jej prace stały się nieprawdopodobnie popularne, „awansowała” z rubryk dotyczących kultury do rubryk dotyczących rozrywki, więc – chciałam czy nie chciałam – zdarzało mi się ją i jej prace widywać w telewizji lub w gazetach.

Obserwowałam, jak matka rezygnuje z malowania kobiet w ogóle, by skupić się tylko i wyłącznie na sobie. Cięła swoją twarz na długie równe paski i robiła z niej kolaże. Odbijała na płótnach swoje usta, powielając oczy i dłonie.

Tylko raz namalowała swój brzuch: był płaski i dobrze umięśniony. Nie przypominał brzuchów innych kobiet, które mają za sobą poród. Był to brzuch kobiety, która dba o swoje ciało i nie pozwala mu na zbyt wiele swobody. Brzuch kobiety, która odcina się od rodziny.

Nie wiem, w którym momencie rozsiał się we mnie strach przed malarstwem. Nigdy nie próbowałam go analizować, ale teraz uciekam nawet przed czytaniem jakiegokolwiek interpretacji malarstwa. Nie chcę znać symboliki, którą posługuje się sztuka, nie chcę rozumieć tego, czego nie widzę na pierwszy rzut oka. Przeraża mnie pokrętność malarzy, ich ukryte zamiary, ta zabawa w podchody – odczytaj wskazówkę, a zrozumiesz, co miałem na myśli.

W książkach wszystko wydaje mi się proste: autor pisze to, co chce napisać, czasami bawi się z czytelnikiem, posługując się symbolami, ale symbole w pisarstwie nie przerażają mnie ani trochę, nie tak jak symbole malarskie. Są mi bliższe. Przypominają moje własne myśli.

W dziełach malarskich często ukrywa się brzydota. Tworzenie prac o pięknie nie daje takiej szansy rozgłosu i nie budzi dyskusji społecznej. Teraz trzeba robić prace o brudzie, złości i posługiwać się brzydota, by stać się tak sławnym jak moja matka.

Wiem, że tak jest i dlatego wcale nie chcę zrozumieć tej sztuki. Wolę zobaczyć na obrazie coś ładnego, co widać gołym okiem, i nie psuć sobie tego wrażenia dowiadrywaniem się o wciśniętej w to ideologii.

Kiedy zadzwonił Mateusz i powiedział mi o śmierci matki, rozłościłam się głównie dlatego, że wiedziałam, iż matka umierając, zmusi mnie do walki z moim lękiem. Nie myliłam się. Mateusz dzwonił, by nie tylko poinformować mnie, iż powinnam założyć żałobę i przygotować się na wizyty dziennikarzy. Dzwonił, by powiedzieć mi, że jestem jedyną osobą dziedziczącą spuściznę malarską po matce.

– Jej prace są rozsiane po całym świecie – mówił, a ja czułam, jak wszystko we mnie się buntuje.

– Czego ode mnie oczekujecie? – spytałam, nie panując nad złością.

– Kogo masz na myśli, mówiąc „wy”?

– Ciebie i matkę. Czego ode mnie oczekujecie?

Dobrze wiedziałam, czego ode mnie oczekują. Że pozbięram jej spuściznę ze wszystkich zakątków świata, że udzię wywiadów na temat tego, jakę byłą wspaniałę kobietę i malarkę, że zapoznam się z jej pracami, posegreguję je i umieszczę u właściwych ludzi, we właściwych galeriach. Że zarobię na jej obrazach dwa razy tyle, ile ona zarabiała na nich za życia. Że odpowiednie osoby nadadzą jej sztuce jeszcze większy rozgłos.

– Chcę tylko, byś je posegregowała i umieściła w rękach zaufanych ludzi. Ona tak chciała.

Wtedy nie chciałam. Teraz też nie chcę, chociaż za dwie godziny będę wymieniać uśmiechy z Mateuszem.

W pocięgu do Warszawy panuje ścisk i duchota. Stoję na korytarzu wpatrzona w szybę. Na dworze jest już cięmno, więc zamiast krajobrazu widzę tylko siebie. Dopiero teraz przypominam moją matkę: złość odmieniła mnie, sprawiła, że mam w twarzy tę samę determinację, co ona.

III

Dorota

Kiedy miałam osiemnaście lat, moja siostra w ramach prezentu urodzinowego namówiła mnie na wizytę u wróżki. Twierdziła, że ta wróżka to żadna ściemniara, tylko prawdziwa siła fachowa, nie opowiada żadnych głupot i ma zdolności mediumiczne.

Wrózka przyjmowała u siebie w domu, chociaż jednopokojowe mieszkanie, do którego nas zaprosiła, mogło być chyba równie dobrze tylko jej gabinetem wróżbiarskim, bo na nielicznych meblach nie mogłam wypatrzeć żadnych pamiątek, książek innych niż okultystyczne, żadnych zdjęć i żadnych niepotrzebnych drobiazgów. Nic, kompletnie nic, co sugerowałoby, kim jest i co robi poza wróżeniem.

– Mandalę rozkłada się raz w życiu – przestrzegła mnie, kiedy już zajęłam miejsce naprzeciwko niej, przy okrągłym stole. – To wróżba na całe życie. Jeśli będziesz jeszcze kiedyś korzystać z porad innych osób, pamiętaj, by nie rozkładały ci już mandali. Nie wolno.

Śmieszyła mnie powaga mojej siostry, skupienie na twarzy wróżki i ogromne karty, które podała mi, bym przetasowała.

– Tasuj tak długo, jak długo czujesz potrzebę.

Ciekawiło mnie, jak wyglądają obrazki na kartach, ale wróżka stanowczo zabroniła je oglądać.

– Nie traktuj ich z lekceważeniem – powiedziała, przypatrując mi się z uwagą.

Karty były duże i miałam problem z ich tasowaniem. Kiedy jedna wypadła na podłogę, wróżka od razu pochyliła się nad nią.

– Odwrócona – mruknęła bardzo niezadowolona. – Odwrócona Wysoka Kapłanka.

Karta przedstawiała kobietę w błękitnej szacie, z wielką księgą złożoną na kolanach.

– Co to oznacza? – spytałam.

– To egoistyczna, niebezpieczna kobieta. Kobieta, która mówi co innego, a myśli co innego. Potrafi niszczyć.

Siostra za moimi plecami poruszyła się niespokojnie, ja zaś odłożyłam karty na stół i patrzyłam, jak wróżka układa z nich koncentryczne kręgi.

Było coś niepokojącego w tej czynności i mimo kpiącego stosunku do całej tej sytuacji, poczułam nieprzyjemne mrowienie w karku. Wtedy jeszcze zupełnie obca mi była symbolika Wschodu, nie miałam pojęcia o znaczeniu mandali. Oburzeniem napawał mnie jedynie fakt, że rozkłada się ją raz w życiu, a ja ten jeden jedyny raz powierzyłam akurat tej kobiecie. Ostatecznie, kto może wiedzieć, czy ona rzeczywiście umie dobrze wróżyć? Może nagada mi jakichś głupot i zostawi pełną wątpliwości, podczas gdy ktoś inny potrafiłby zrobić to lepiej.

Zmrużonymi oczami obserwowałam, jak wróżka odwraca karty. Dopiero teraz mogłam przyjrzeć się umieszczonym na nim obrazom. Moją uwagę przykuł czarny kolor, który zdawał się dominować nad całością. Postaci przedstawione na rycinach miały twarze zwrócone w różnych kierunkach i wykonywały dziwne czynności. Zobaczyłam diabła z rozłożonymi skrzydłami, który trzymał na smyczach nagich mężczyzn. Byli też ludzie spadający z płonącej wieży w gradzie kamieni. Nie spodobały mi się dwie myszy obracające drewnianym kołem – jedna spadała głową w dół, a druga wdrapywała się mozolnie w górę. Zobaczyłam kobietę, która gołymi rękami rozrywa paszczę lwa, inną kobietę rozmawiającą z dwoma mężczyznami, wisielca, miecze i buławy. Rysunki przywodziły na myśl średniowieczne ryciny i ich specyficzny klimat. Kojarzyły mi się z płonącymi stosami inkwizycji, z dominacją religii i lochami wypełnionymi narzędziami tortur. Nie mogłam w nich dostrzec kompletnie nic ładnego. Były ciemne i brzydkie. Czaił się w nich strach.

Już się nie uśmiechałam, chociaż śmiech byłby najlepszą obroną przed strachem. Kiedy wróżka zaczęła interpretować karty, czułam potrzebę wyjścia i złapania powietrza gdzieś poza tym pokojem.

Słyszałam słowa wypowiedziane gładko, kryjące znaczenia, które nigdy nie zostały wypowiedziane wprost:

– Będiesz miała dwóch mężczyzn, z których jeden będzie cię bardzo kochał, a drugi tylko trochę. Widzę tu dużo wahania i wiele niepodjętych decyzji. Przed tobą ważny wybór. Będzie dotyczył całego twojego życia. Możesz narzucać ludziom swoją wolę, jesteś magiem, który przemienia metal w złoto...

Siostra za moimi plecami pomrukiwała zadowolona, że tyle dobrych rzeczy przede mną.

– Widzę tu podróż. Jest w niej pewien chaos i nieporządek, ale ty postarasz się poukładać wszystko tak, jak trzeba. To podróż, która odmienia życie. Ten arkan mówi: pracujcie i podejmujcie trud, a będziecie zbierać owoce swojej pracy. Pomyślność, wiele pomyślności. O, ile pieniędzy i ile pracy twórczej!

Sprawa mężczyzn w moim życiu powracała:

– Jeden będzie spod znaku Ryb. Ten będzie cię bardzo kochać, ale jest słaby i w tej chwili jeszcze go nie znasz. Jest daleko.

Dłoń dotykała kolejnej karty, czy czytały w niej jak w otwartej książce:

– To dobry mężczyzna. Tyle, że bez pieniędzy. Umysł chłonny, inteligentny, skory do poświęceń. Karta zapowiada bezsilność tego mężczyzny wobec ciebie. Jesteś silna i zbyt nieustępliwa, by mógł z tobą walczyć. Ciebie bardziej zainteresuje ten drugi mężczyzna.

Dotknęła palcem karty przedstawiającej diabła.

– To silny człowiek i bardzo despotyczny. Ma niskie pragnienia i niskie cele. Pokochasz go zmysłami, nie sercem. Między wami będzie się toczyła ciągła walka o dominację. Będziecie wiele razy łączyć się ze sobą. Powab, energia seksualna, zbliżenie płci i namiętność, której nic nie powstrzyma. Pamiętaj jednak, że to nie jest dobry człowiek. Piękny i pociągający, lecz tak naprawdę nie kocha nikogo poza sobą samym.

Wróżka widziała w kartach fakty, dla niej jasne jak słońce, i umiała w każdej z nich znaleźć coś pozytywnego. Ja nie znałam złożonej symboliki tarota, lecz wystarczył mi rzut oka, by odczytać to, czego nie mówiła. W mojej przyszłości nie było kart o odcieniu duchowego błękitu, słonecznej żółci i uspakajającej zieleni. Wyciągnęłam karty walki i nocy. Nie było w nich zapowiedzi przyjemnych chwil.

Ten mężczyzna, przed którym ostrzegała mnie wróżka, miał mnie zniewolić – trzymał mnie na łańcuchu i triumfował, rozkładając skrzydła. Ten drugi wisiał głową w dół i nie mógł mnie uratować. Wybory, które mnie czekały, miały być dokonywane źle i nierozważnie. Podróż symbolizował Głupiec – miał na plecach pęknięty tobołek, z którego wysypywały się różne potrzebne drobiazgi, pies ogryzał mu łydkę, a on, idąc, nawet nie patrzył przed siebie.

Zmiany obwieszczała karta z numerem XIII. Trzynastka to cholernie pechowa liczba, ta dodatkowo była jeszcze niemila dla oka:

oto śmierć szła z kosą po płaskim terenie, wypatrując, kogo jeszcze zarać. Spod ziemi wyrastały dłonie, stopy i głowy błagające o pomoc. Nawet nie orientując się w symbolice, wiedziałam, że to monstrum drepczące przed siebie ma zabijać moje plany i idee. Wróżka nie powiedziała mi tego, ale karta, która wypadła przy tasowaniu, nie oznaczała wcale, że spotkam na swojej drodze niebezpieczną, podłą kobietę, która mówi nie to, co myśli, i potrafi niszczyć. Kiedy tylko odczytała mi jej znaczenie, od razu wiedziałam, co to naprawdę oznacza.

Ta karta symbolizowała mnie.

Od wizyty u wróżki minęło siedem lat.

Za godzinę zacznie się mój wernisaż, a ja, stojąc w pustej sali, która już niedługo wypełni się ludźmi, myślę o tamtej wróżbie. Myślę o niej jak o omenie, który naznaczył całe moje życie. Zastanawiam się, czy nieomylność kart tarota nie polega przypadkiem na tym, że kiedy rozłoży się je dla kogoś, kształtują przyszłość tego, kto w nie uwierzy. Może nie jest wcale tak, że nasza przyszłość jest gdzieś zapisana, że można ją odczytać, a wszystko jest z góry przewidziane? Równie dobrze może być przecież tak, że rozkładałam karty i wyczarowuję dla siebie przyszłość.

Popijam wino i przyglądam się swoim obrazom.

Z rana w gazecie ukazała się niewielka wzmianka na mój temat:

Dorota po raz drugi wystawia swoje prace. Jej malarstwo opowiada o kobietach uwikłanych w świat magii. Artystka nawiązuje do symboliki kart tarota, tworzy wróżbiarskie kompozycje z malowanych przez siebie obrazów i niepokoi widza ciemną kolorystyką płócien oraz wpisanymi w nie dziwnymi historiami.

Dziennikarka dodała jeszcze, że nie ukończyłam akademii ani liceum plastycznego. Rozpisała się nad autentycznością moich prac, która wynika ponoć z tego, że nie uczyłam się malarstwa w żadnej szkole, tylko sama dochodziłam do wszystkiego. Nie omieszkała też wspomnieć, że przez dwa lata pobierałam nauki u Ewy Gretko. Ta ostatnia wzmianka powinna sprawić, że na wernisażu zaroi się od ludzi.

O śmierci Ewy Gretko dowiedziałam się wczoraj. Podali w radiu. Umarła we Włoszech na raka w wieku pięćdziesięciu lat.

Pięćdziesiąt lat! – nie mogę w to uwierzyć. Uczyła mnie cztery lata temu, więc tym bardziej nie mogę uwierzyć. Jej twarz, sposób

bycia i ubierania się nigdy nawet nie nasunęły mi przypuszczenia, że mogła być w tym wieku! Trzydzieści pięć, góra czterdzieści. Za cholerę nie dałabym jej więcej. Pamiętam, że miała chłopaka niewiele starszego ode mnie, który wpatrywał się w nią z bezgranicznym uwielbieniem, i pamiętam jej dom, który wypełniła samymi starociami. Ten jej dom zachwycał mnie: pamiątki, pamiątki i pamiątki, jakby nowoczesność nie miała tam żadnego wstępu.

Pięćdziesiąt lat! – śmiać mi się chce, jak tylko o tym pomyślę. To jest nie do uwierzenia! Pięćdziesiąt lat?

Kiedy widziałam ją ostatni raz, wybierała się do Francji. Chciałam ją jakoś pożegnać, więc zrobiłam dla niej prezent. Takie tam małe pudełko, ręcznie pomalowane przeze mnie. Każda jego ścianka była inną kartą tarota, ale tym razem wybrałam same najładniejsze karty, by szkatułka była dla niej dobrą wróżbą. Podziękowała mi i życzyła sukcesów. Potem, śmiejąc się, dodała, że muszę nareszcie zacząć uczyć się trochę historii sztuki, bo to straszny wstyd nie znać się na sztuce, a uprawiać ją.

Fakt. Straszny wstyd, ale co mnie to obchodzi? Nigdy nie chciało mi się poświęcać czasu na studiowanie czegoś, co wydusił z siebie jakiś artysta. Straszna nuda. Malarstwo w moim życiu to naleciałość, która wykształciła się dość niedawno. To coś, przy czym zatrzymałam się na razie i nie wiążę z tym przyszłości. To taki chwilowy postój w życiu.

W gazecie napisali prawdę – tworzę prace o strachu, nocy i ostateczności. Często nawiązuję do kart tarota. Od czasów tamtej koszarnej wróżby przeczytałam większość książek o tarocie, kupiłam sobie własną talię kart i próbowałam nawet nauczyć się wróżyć. Mogę teraz w obrazach robić dowolne rozkłady kart, w swobodny sposób bawić się ich znaczeniami.

Często na moich płótnach pojawiają się dwie myszy, gdyż ta karta najgłębiej zapadła mi w pamięć. Raz obracają kołem fortuny, raz wędrują przez dziwaczne krajobrazy. Kilka razy namalowałam Wieżę z jej płonącymi cegłami i dwojgiem ludzi spadających w dół.

Ludzie kupują prawie wszystko, co namaluję. Lubią się bać. Podnieca ich to. Za strach potrafią płacić najwyższe ceny. Ostatni mój obraz zatytułowany *Las* osiągnął zawrotnie wysoką cenę. Przedstawiał identyczne drzewa pokryte mrokiem nocy. Na gałęziach siedziały szczury. Tylko ich oczy świeciły złotem. Zerkały zza gałęzi, zza pni, z głębi lasu.

Ten tryptyk przede mną jest moją najważniejszą pracą. To odpowiedź na pytanie, czy wróżba urodzinowa się spełniła i jakie właściwie miała dla mnie znaczenie. Ludzie myślą, że obraz nawiązuje do średniowiecza i do roli kobiety w tamtej epoce. Mylą się. Zbyt wiele chcą widzieć tam, gdzie nie ma na co patrzeć.

Ta kobieta to ja.

Na lewym skrzydle tryptyku ukazałam siebie jako kapłankę ogniska domowego: siedzę pochylona nad długą, pozłocaną nicią, która układa się w piękny wzór obszywający cały tryptyk. To ja za czasów Bartka – uspokojona, wyciszona, kobieca.

Na prawym skrzydle też ja. Tym razem stoję naga, z rozkrzyżowanymi rękami. Za mną wzorzysta tkanina – kapa z łożka Piotra. Starłam się namalować siebie taką, jaką byłam przy nim: zupełnie odkrytą, pełną perwersji.

Pośrodku też ja. I ta scena jest najważniejsza. Tym razem kulę się w pozycji embriona, mam przy sobie wszystkie atrybuty Wysokiej Kapłanki – księgę pełną mądrości, tron, kapłańskie nakrycie głowy. Mam na sobie szaty kapłanki. Wszystko namalowałam dokładnie w takiej kolorystyce jak w kartach tarota.

U moich stóp umieściłam jednak pęknięty worek Głupca.

Darmowa e-gazeta kulturalna

Apeiron Magazine

www.apeironmag.pl



www.escapemag.pl